

Ustawa o cenzurze treści w serwisach społecznościowych

1 lutego 2021

Projekt ustawy o „ochronie wolności słowa w internetowych serwisach społecznościowych”, lansowany ostatnio przez polityków związanych z Ministerstwem Sprawiedliwości i Solidarną Polską, [ujrzał światło dzienne](#). Nieoficjalnie, z komentarzem prawników z organizacji pozarządowych, bo na stronach Rządowego Centrum Legislacji nadal go nie ma. I co się okazuje?

Po pierwsze, projekt zawiera przepis umożliwiający prokuratorowi nakazanie usługodawcy (czyli dostawcy usług internetowych serwisów społecznościowych, z których korzysta co najmniej milion zarejestrowanych użytkowników – na przykład Facebooka, Twittera czy Youtube) uniemożliwienia dostępu do „treści o charakterze przestępnym” (treści, które pochwalają lub nawołują do popełnienia czynów zabronionych, określonych w artykułach: 117–119, 127–130, 133, 134–135, 137, 140, 148–150, 189–189a, 190a, 194–204, 222–224a, 249–251, 255–258, 343 kodeksu karnego, lub realizują znamiona czynu zabronionego) m. in. w przypadku, gdy „dalszy dostęp do tej publikacji stwarza niebezpieczeństwo wyrządzenia znacznej szkody lub spowodowania trudnych do odwrócenia skutków” (a także, gdy zawierają publikację z treściami pornograficznymi z udziałem małoletniego lub treściami, które pochwalają lub nawołują do popełnienia czynów o charakterze terrorystycznym).

Czyli można wyobrazić sobie sytuację, w której w obecnej sytuacji ludzie zwołują się na Facebooku do protestów (np. #StrajkKobiet) lub obywatelskiego nieposłuszeństwa (np. #otwieraMY), twierdząc, że wcale nie naruszają tym prawa, bo to przepisy zakazujące gromadzenia się czy świadczenia usług w stanie epidemii są bezprawne, i mając nawet na podparcie tych twierdzeń orzeczenia sądów. Ale prokurator uznaje, że jest to

publiczne nawiązywanie do popełnienia przestępstwa (czyn z art. 255 kk) i wydaje nakaz uniemożliwienia dostępu do tych treści – utrudniającym tym samym organizację protestów.

Można sobie wyobrazić też sytuację, w której ktoś donosi do prokuratury, że np. jakieś treści na „Facebooku” obrażają jego uczucia religijne, a prokurator subiektywnie uznaje, że może to „wyrządzić znaczną szkodę” i wydaje nakaz uniemożliwienia dostępu do tych treści.

Inaczej mówiąc, projekt wprowadza dodatkowe mechanizmy cenzurowania treści w serwisach społecznościowych przez prokuratora. Istnieje wprowadzenie możliwości złożenia zażalenia do sądu, ale nie każdy wie, jak to zrobić, nie każdy zdąży to zrobić w terminie, a i nie zawsze sędzia takie zażalenie rzetelnie rozpatrzy, to jednak nie pełne postępowanie na rozprawie.

Po drugie, projekt wcale nie zakazuje banowania treści niełamających polskiego prawa, jak to szumnie zapowiadano nawet [na oficjalnych stronach rządowych](#) i na [twitterowym koncju Zbigniewa Ziobry](#). Stwarza jedynie specjalną drogę odwołania się od bana (skarga do „Rady Wolności Słowa”, organu powoływanego przez Sejm) i uchylenia go w przypadku, gdy „treść lub profil użytkownika, do których ograniczono dostęp, nie stanowią treści o charakterze bezprawnym”. Ale „treści o charakterze bezprawnym” zgodnie z definicją zawartą w projekcie to także „dezinformacja” lub treści, które „naruszają dobre obyczaje”. Tak więc serwisy społecznościowe nadal będą mogły banować treści naruszające wg nich dobre obyczaje lub stanowiące „fake newsy” – o ile urzędnicy będą mieli na ich temat podobną opinię. W praktyce może oznaczać to, że bany za określenie katolika słowem zaczynającym się na „k” i kończącym na „l” będą przez Radę powołaną przez obecny Sejm akceptowane, za to bany za określenie homoseksualisty słowem zaczynającym się na „p” i kończącym na „ł” – uchylane. A jak się w Polsce zmienia władza, to odwrotnie.

Po trzecie, projekt wprowadza ogólny obowiązek przechowywania danych osobowych i eksploatacyjnych wszystkich usługobiorców przez usługodawców świadczących usługi drogą elektroniczną na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej – w tym zagranicznych. Jest to obowiązek podobny do ogólnego obowiązku przechowywania danych telekomunikacyjnych, który w 2016 r. został uznany za niezgodny z prawem UE przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Po czwarte, projekt prowadzi do nieprzewidzianych konsekwencji. Regulacje w nim zawarte obejmą np. kanadyjski serwis Fetlife dla osób o nietypowych upodobaniach seksualnych i fetyszach (ma kilka milionów zarejestrowanych użytkowników i spełnia definicję „internetowego serwisu społecznościowego”). Serwis ten ma w regulaminie zakaz publikowania treści niezwiązanych z jego tematyką. Pomijając już to, że będzie musiał spełnić obowiązki takie jak ustanowienie przedstawiciela w Polsce oraz ustanowienie w języku polskim „skutecznego i zrozumiałego wewnętrznego postępowania kontrolnego w sprawach, których przedmiotem są reklamacje użytkowników”, to jeśli ktoś wpadnie na szerzenie na nim np. propagandy potępiającej perwersje seksualne i zostanie za to zbanowany, będzie mógł się poskarżyć do Rady Wolności Słowa, a ta powinna takiego bana uchylić – wszak nie są to treści bezprawne w rozumieniu projektu.

Oczywiście, pozostaje pytanie, na ile usługodawcy z siedzibami poza Polską zdecydują się podporządkować tym przepisom. Projekt przewiduje za ich nieprzestrzeganie administracyjne kary pieniężne do nawet 50 milionów złotych. Egzekwowanie ich poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej w braku odpowiednich umów międzynarodowych może być jednak problematyczne.

W każdym razie, do projektu bardziej pasuje nazwa „ustawa o cenzurze treści w internetowych serwisach społecznościowych”.

Autorstwo: Jacek Sierpiński

Źródło: Sierp.Libertarianizm.pl